

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiecy

ROK LXI

WARSZAWA, DNIA 3 LISTOPADA 1928 ROKU

NR 45

TREŚĆ NUMERU: Prawo pięści i różgi — *Dr. Herminja Naglerowa*. Pamiętaj, abyś dzień święty święcił — *M. H. Szpyrkówna*. Poezje: „Smutny świt“, „Wieczór“ — *M. Czerkawska*. Powrót Anny Klebst (nowela) — *Lena Sölm*. Sztuka Rokoka (dok.) — *Wacław HusarSKI*. Dziesięciolecie odrodzenia Czechosłowacji — *N. J. Š. p. Józef Kotarbiński* — *N. J.* Z teatrów — *H. N.* Kobieta w świecie i w domu — *J. H. S. i N. J.* Ankieta. Saffa (dok.) — *M. P.* Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty“: Suknie na codzień — *Well*. Dodatek „Kultura Ciała“: Chirurgja kosmetyczna, a odmładzanie — *Dr. Ludwik Gout*. O brodawkach — *Dr. Mozołowska*. Pogadanka kosmetyczno-higieniczna — *Dr. Jadwiga Zasztowt*. Ku pochwalie mody współczesnej — *Well*. Z nowinek świata — *Dr. Jaroszewiczówna*. Odpowiedzi Redakcji. Dodatek powieściowy: „Oblubieńcy“ — *M. Beniśławska*. Arkusz wzorów

PRAWO PIĘŚCI I RÓZGI

Zapoczątkowana w wieku dziewiętnastym walka o wolność człowieka do dziś nie jest ukończona. Z ciemnych zakamarków, z jaskiń przesądów wydobywa się coraz to inną „kwestję“ najaw i czyści się tę stajnię Augjasza, zanieczyszczoną przez stulecia. Zrewidowano w ten sposób sprawę równości i równouprawnienia, rozstrzygnięto kwestję kobiecą, rozpatrzono i zreformowano metody pedagogiczne, to znaczy — zrozumiano duszę dziecka i jego ludzkie prawa.

Ale, powtarzam, walka się nie skończyła, bo piękne hasła podrażniły tylko zlekka naskórek społeczny i pozostały teorją, łypiącą martwemi powiekami, niczem owe figury w panoptikum. Urzeczywistnienie hasła dziewiętnastego stulecia, ich zaszczepienie w organizm społeczny stać się więc musi upartą pracą dni dzisiejszych i nie wolno nam ani na moment spocząć w akcji realnej, konkretnej, dającej jaknajszysze i oczywiste wyniki.

Po tym wstępie nie będę dziś mówić o kwestji kobiecej, z której żywotności można przecież czerpać bez końca. Inny temat, wygrzebany z ponurej prawdy życia, podsuwa mi się dziś pod pióro. Pomówię o bitych dzieciach, albo raczej o tem, że bije się dzieci. Wiem — powiecie bez zastanowienia się: „Nieprawda, dziś się dzieci nie bije! Istnieją już inne metody wychowawcze i inne dziś mamy serca dla maluczkich obywateli. Nikt im nie zrobi krzywdy, przeciwnie: to oni rządzą nami. Wyszliśmy przecież ze „stulecia dziecka“, z wielkiej reformatorskiej propagandy Ellen Key i dlatego śmieszem jest pisać o cielesnem krzywdzeniu dziecka! No tak, oczywiście, jakieś tam

nic nie znaczące „klapsy“, jakiś mocniejszy chwyt — dziecko nie jest przecież ze szkła!“

Z takim postawieniem sprawy spotykamy się u inteligencji, która, jak widzimy, mimo szumnych frazesów, nie potrafiła jeszcze uwolnić się od naleciałości tradycji wychowawczej, gdyż niejednokrotnie sama pamięta sińce, szturchańce i różgi swojego dzieciństwa. Więc i w tej sferze, która przecież dość szybko przyjmuje reformatorskie metody, trwa jeszcze poniekąd prawo pięści i różgi, choć już w znacznie zmodyfikowanej formie.

Gorzej dzieje się w t. zw. sferze niższej, do której nie dotarły jeszcze nowe pojęcia i nowe metody. Tam bije się dzieci z rozmaitych pobudek, acz nie zawsze pedagogicznych. Sprawę tę poruszył w „Kurjerze Porannym“ znany literat p. St. Mar (25 września b. r. Nr 267) w artykule p. t. „Dzieci-bóstwa i dzieci ubóstwa“. Czytamy tam: W ośrodkach skrajnej nędzy, w skupiskach głodu, trosk i goryczy dziecko zbyt często jest wentylatorem dla zebranej żółci i niewylanych łez... Biję się tam dziecko za jego płacz z głodu, za jego naturalne figle, za zgubione pięć groszy. Biję się dziecko w przeświadczeniu, że dziecko winno być bite. Biję się przez zwierzęcą pewność nieotrzymania odwetu. Biją rodzice i opiekunowie, i tylko niezmiernie rzadko w obronie pokrzywdzonego dziecka staje powołana do tego władza państwowa. Oto, co pierwsze winno się wryć w pamięć tych, którzy stanęli w obronie praw dziecka... A teraz pomówimy o 475 paragrafie naszego kodeksu karnego, który brzmi: „Winny uderzenia umyślnego, lub innego czynu gwałtownego, obrażającego nietykalność ciała,

za taki gwałt na osobie ulegnie karze aresztu". Odpowiedzialność i konsekwencje za obrazę tego artykułu ponosi się wówczas tylko, gdy poszkodowany wytoczy sprawę przeciw swemu krzywdzicielowi. Państwo w osobie publicznego oskarżyciela nie stoi na straży tego paragrafu K. K. W imieniu dziecka występują w tych wypadkach na drodze prawnej rodzice jego lub opiekunowie. A teraz streszcmy par. 135 Ustawy Postępowania Karnego: „Jeżeli oskarżyciel nie stawi się w terminie bez przyczyn usprawiedliwionych, jeżeli sprawa należy do kategorii tych, które mogą być umarzone przez pojednanie, sąd oddala skargę“. Dwa te paragrafy, wspomagając się wzajemnie, odbijają się nieraz boleśnie na cielesnej i psychicznej stronie nieletnich. W sądach pokoju umarza się z natury istniejącego prawa niezmiernie często postępowanie karne, mające za treść pobicie dziecka“.

Sprawa, którą tak energicznie i rzeczowo potraktował autor artykułu, jak widzimy, nie powinna się oprzeć jedynie na jakiejś akcji społecznej, skazanej na dobrą wolę wolontariuszy w fachu filantropji, ale sięga ona do paragrafów kodeksów, które lepiej i może skuteczniej obronią dziecko ubóstwa przed zezwierzoną przemocą.

Z prawdziwą satysfakcją należy tu podnieść fakt, że głos p. Mara nie pozostał bez echa. Oto p. prof. E. St. Rappaport, członek prezydium i sekretarz generalny komisji kodyfikacyjnej, w liście do p. Mara („Kurjer Poranny“ z dn. 10 października Nr. 282) zapewnia, że „kwestja, tak zasadniczo poruszona przez p. St. Mara niewątpliwie, zostanie z całą sumiennością rozważona przy ostatecznym ustaleniu brzmienia przepisu, analogicznego do art. 475 kodeksu karnego z r. 1903, o którym mowa w rzeczonym artykule“.

Jest to już duży sukces dla poruszonej sprawy i niewątpliwie „karząca ręka“ paragrafów powstrzyma rękę, zbyt pochopną w krzywdzeniu dzieci. Ale, czy martwa litera prawa zdoła wyplenić okrutny obyczaj? Wielki przyjaciel dzieci, Janusz Korczak, nie omieszkał w tej sprawie wypowiedzieć parę gorzkich słów prawdy („Kurjer Poranny“ 16 października Nr. 288). Niepodobna tu przedrukować całego artykułu Korczaka, więc ograniczam się tylko do urywków: „Niestety!“—pisze Korczak— „w warunkach dzisiejszych żaden paragraf nie osłoni dziecka przed brutalną przemocą dorosłych“. „Prócz chamskich zgoła rozpraw, istnieje jeszcze cała długa serja stopni pośrednich: szturchanie, szarpanie, popychanie dzieci pospolite i nawet niedostrzegane. Czuła matka ciągnie dziecko przez ulicę, bezmyślnie nie stosując chodu do drobnych

kroków małego. Wsiadając lub wysiadając z tramwaju, nawet bez pośpiechu, spuszcza je lub podnosi za jedną rękę, jak szaflik wapna na sznurze“. „Jedni tylko biją, inni naprzemian: raz całują, raz biją. Biją sami, lub spychają przemyślnie „obowiązek“ ten na siasiada, bo czemuż jest wzywianie rodziców przy lada powodach do szkoły, jeśli nie domaganiem się ojcowskiego pasa?“ Wielka połać kraju wychowała się w szkole zupełnego bezprawia, nie mniejsza — w brutalnej szkole zewnętrznego ładu pod okiem uprzedzonym, nieufnym, złośliwym. Mści się to okrutnie w pierwszym rzędzie na słabych i bezbronnych“. „Zbyt czujnie śledzę sprawę dziecka, by pogląd mój nie był tak pesymistyczny a, niestety, uzasadniony“.

Pesymizm Korczaka jest w tej całej sprawie niewymownie przykrem zjawiskiem. Więc długie lata pracy dla dziecka i w obronie dziecka musiały dać Korczakowi w rezultacie tylko—pesymizm! Nie wiem, jak podziały słowa Korczaka na czytelników, wśród których niewątpliwie wielu jest ojców, wiele matek, wielu pedagogów. Może się odezwa, może znajdą w swoim mózgu, w swoim sercu jakąś radę na to, co jest najokrutniejszel? I dlatego, jeżeli przed chwilą mówiłam z przekąsem o wolontariuszach w zawodzie filantropji społecznej—to cofam, cofam się na całej linii!

Trzeba właśnie, aby powstało towarzystwo opieki nad poniewieranymi dziećmi; trzeba pisać broszury, odezwy, urządzać odczyty, nauczać, sięgać do znanych już sposobów oświatowych; trzeba ponadto krzyknąć na alarm, wołać i grozić! Same paragrafy jeszcze nie zapobiegają, jeszcze nie zdejmują obowiązku z ramion tych, którzy powinni działać i przeciwdziałać. Niech się do tego zabiorą kobiety (właśnie kobiety!), bo lękam się, że sądy nie nadążą z wyrokowaniem, a dzieci mimo to będą bite.

Bite! — straszne słowo i przerażająca jego treść. Znacie Gracji Deledy „Ucieczkę do Egiptu“? Jest tam małe opowiadanie o biciu śpiącego dziecka... Znacie „Piętno“ Simony Bodève? Zliczcie tylko policzki, któremi częstowano małą Lole...

Myślę, że z tych uderzeń i szturchańców, wydzielanych rozrzną ręką, rodzi się w dziecku pojęcie zła i krzywdy. Przemoc podburza w dziecku krew, dając mu pierwszy posmak brutalności, pierwszą szczepionkę zbrodni. I stąd tak czerwone od krwi i zbrodniczości są kolumny codziennej prasy; stąd sadystyczne sensacje, wymyślne zboczenia, których początków doszukuje się psychoanaliza w przeżyciach dzieciństwa. Bezkarność znęcania się nad dziećmi kładzie straszliwe piętno na społeczeństwie!

Dr. Herminja Naglerowa.



M. H. SZPYRKÓWNA

PAMIĘTAJ, ABYS DZIEŃ ŚWIĘTY ŚWIĘCIŁ!

Jakże niezmiernie daleko my, Europejczycy, odeszliśmy od kanonów, ustalonych przez mądrość wieków ogółem! Mówię: przez mądrość wieków — jakkolwiek przykazanie tytułowe jest jednym z przykazań świętych, głoszonych przez religję. Ale właśnie dlatego reprezentuje mądrość, zdobytą przez ludzi w ciągu długich stuleci. Niema wśród przykazań takiego, które bezpośrednio czy ubocznie nie godziłoby w najkonieczniejsze założenia społeczne albo psychologiczne. Jeżeli weźmiemy po kolei każdy z kanonów dekalogu, zobaczymy, że stanowią one podłoże wszelkiego postępu społecznego w porównaniu ze starożytnością — i że innych imperatywów, wyższych, wzniolejszych i... praktyczniejszych, nie stworzyliśmy i dziś. Przeciwnie! Ogromne księgi kodeksów karnych są tylko wielotysięcznym rozczłonkowaniem, mikroskopowym preparatem wciąż tych samych, starych, jak Stary Testament, zwartych, jak gład, rytych ognistym rylcem natchnienia, zaiste spiżowych w swej lapidarnej wszechpojemności — zakazów Mojżesza:

- Nie zabijaj.
- Nie cudzołóż.
- Nie kradnij.
- Nie krzywoprzysięgaj.
- Nie pożądaj rzeczy cudzej.

I szereg nakazów pozytywnych:

- Uwielbisz Boga twego.
- Ukochasz ludzkość, której jesteś częścią.
- Uszanujesz rodziców twoich.

I pozatem jeszcze upomnienie:

- Pamiętaj, abys dzień święty święcił!

W krajach kultury anglosaskiej, trzeba im to przyznać, tradycja święcenia dnia świętego przetrwała nieporównanie bardziej nienaruszona, ba!... surowa nieraz w swoim pedantyzmie, niż u nas. Od czasów literatury Dickensa, która nas zapoznała z pastorskim niejako rytuałem angielskiego społeczeństwa w niedzielę, i do dziś, nie dużo się zmieniło: anglikanin obchodzi niedzielę w sposób nieomal liturgiczny. Dzień świąteczny w Anglii do dziś jest dniem pustki na ulicach, czytań biblijnych, pogadańk etyczno-społecznych, śpiewania psalmów w gronie rodzinnem lub publicznie, i odprawiania nabożeństw. Tam święto przechowało jeszcze niejako w sferach średniej klasy swój charakter nietyle świąteczny, co świętobliwy: pewne skupienie wewnętrzne, pewne restrykcje towarzyskie są tam jeszcze na porządku dziennym. Niema, podobno, dla cudzoziemca bardziej odstrasząco-przynębiającego zjawiska, niż Londyn, a zwłaszcza — prowincjonalne miasta angielskie w święta: pustka, bezludzie i niczego nigdzie nie można się dopytać.

A Paryż w święto! A Wiedeń, a Berlin! A Warszawa?..

A — Warszawa?..

Zastanówmy się! Co mamy jeszcze z tradycji dnia świętego u nas?

Mamy — nabożeństwo. I, trzeba przyznać, że nabożeństwo niedzielne jest jeszcze w Polsce mocną i głęboko zakorzenioną tradycją. Kościołów mamy dość, jednak wygląda, że nigdy ich nie jest, sądząc z niedzielnych tłumów, za dużo. Nabożeństwo niedzielne bynajmniej nie jest wyłącznie święcone przez to, co nazywamy najczęściej klasą średnią. Przeciwnie! Wszystkie klasy społeczne, wszystkie odłamy narodu znajdują tam teren wspólny. Od tradycyjnie piastującej swoje stalle i krzesła elity towarzyskiej, poprzez sfery inteligenckie, mieszczańskie i robotnicze, poprzez wojsko i młodzież akademicką, i aż do najuboższych, najniższej stojącej warstwy ludności: wszyscy w niedzielę stanowią jedną bratnią, zwartą rzeszę, połączoną wspólną tradycją, przekonaniem i nakazem: „Pamiętaj, abys dzień święty święcił!”

Ale — i tyle.

Ranek mija, kościoły pustoszeją — i święto, by tak rzec, Boże, skończyło się. Współczesne, żądne wyzyskania każdej piędzi czasu, życie podzieliło już niepodzielny dawniej Boży dzień na dwie części: mniejszą z nich, poranną, oddało Bogu, a znakomicie większą — Cezarowi. Cezar współczesnego życia jest tyranem i despota: połyka, jak Moloch, swoich podwładnych. Wciąga ich zachłannie potężnym oddechem wielkomięjskich płuc do tego, coby można nazwać ognistym brzuchem miasta. Czy będzie to karuzela i kolej djabelska na przedmieściu, czy kawiarnia, restauracja i teatr w centrum, czy dancng, rozdzazbandzony murzyńskim wraskiem, czy dom gry o spuszczonech dyskretnie roletach, z poza których nagle czasami rozlega się krótki strzał i gwizdek obławy — wszystko jedno! Zawsze będzie to niedzielne, odświątne, szczególnie wzmożone rozszalenie, jakieś iks plus jeden w stosunku do poprzedniego dnia. Poczem następuje najszczególniejszy epilog poniedziałkowy: wykazy bójek nożowych, awantur ulicznych, przejechań, okradzeń, uwiedzeń i t. p. w rubrykach przedmieścia — a wielkomięjska rubryka nie ogłasza swoich strat. Są one zwykle zyskiem kogoś innego — rachunki pieniężne w restauracjach i gabinetach, rachunki moralne w buduarach i w zakątkach tak zwanej duszy. Niedziela — zabawny paradoks współczesności!.. — stała się dziś dniem, w którym najczęściej i najwięcej człowiek obraża Boga. A przecież, miało to być Jego święto?..

Czy umielibyśmy wprowadzić u siebie tryb niedzielny na wzór anglikańskich psalmistów?

Sądzę, że nie! Ale dobrzeby jednak wprowadzić pewne jego odmiany: sposoby, sprzyjające raczej skupieniu, niż rozproszeniu. Zdaje mi się, że jednym z najlepszych potemu środków u nas są — zebrania pół-towarzystwie, pół-naukowe, poświęcone jakiemuś założeniu zgóry powziętemu. Może to być wspólne czytanie któregoś ze współczesnych znakomitych uczonych czy autorów, może być referowanie jakichś dzieł, prądów, kierunków, zdarzeń. Mogą być kółka etyczne, poświęcone tak skromnym i ubogim na pozór problematom, jak tygodniowy przegląd własnych niedociągnięć gospodarczych, z podaniem przyczyn, uczyniony publicznie w ścisłym, oczywiście, gronie. Daje to nadspodziewane zupełnie wyniki. Może być wyliczenie okazji, kiedy się przez tydzień ubiegły było dla kogoś z domowników nieuprzejmą, niesprawiedliwą, przykrą — i w jakich okolicznościach? I dla czego?

Może być postanowienie wynagrodzenia tego w idącym tygodniu, zgóry i metodycznie założone,

i zdanie następnie rachunku, co się uczyniło dla wzmoczenia własnej łagodności i opanowania. I z jakim skutkiem?.. Może być milion innych „ćwiczeń niedzielnych“. Są pochodzenia amerykańskiego, ale dużo bliżej nam odpowiadają, niż psalmy angielskie w święta. A jednak, osiągają skutek, bo — za stanawiamy się nad sobą: kontrolujemy własne wady i możliwości, słowem, idziemy głębiej w siebie, cofając się od krzykliwej i zakurzającej duszę krzątania niedzielnej. A nieomylnym wskaźnikiem, że jest to droga dobra, jest szczególne uczucie zadowolenia, jak-gdyby — zadośćuczynku, które powstaje w człowieku przy takich próbach pogłębienia i samokontroli, przykrych przecież i nieraz nawet dotyczących miłość własną przez wyznanie własnych wad. Nieocenione usługi oddają w tym sensie tygodniki i czasopisma amerykańskie, obfitujące w takie „rozdziały ćwiczeń duchowych“, przy najbardziej skądinąd światowej i nawet sensacyjnej treści. U nas — jeszcze to nie jest spopularyzowane, ale mam osobiście zamiar, bodaj streszczając czasami takie rozważania: przyczynić się, aby się zjawily i u nas...



M. CZERKAWSKA

SMUTNY ŚWIT

Przyszedł na świat żółty, anemiczny, mizerny —
Przed sobą miał drogi, ukryte w mgle bezmiernej...
Przed sobą miał chaty, o oczach mętnych, łzawych,
I drżące z chłodu, słotą powalone, trawy.

Przytuliła go wierzba, przydrożna żebraczka...
Kołysała tkliwie, jak swojego robaczka —
Szepnęły łoży, co mętą obrosły rzeczka:
Spocznij w ramionach staruszki, pośpij troszeczkę.

Zaszumiły trzciny w stawach na różne głosy:
Przecież miał być mocny, rumiany, złotowłosy! —
Olchy pochyliły głowy, ciężkie od smutku —
A on drobniutkimi łzami płakał cichutko.

WIECZÓR

Ziarenkiem piasku pod wzrokiem fakira
Nikły, jesienny wieczór w drzewo rośnie —
Pajęczynowe listeczki ma w kłirach
Pokręcone, poplątane żałośnie.

Wolno konary rozpręza szerokie,
Ryze ścierniska w cień gałęzi wgarnia —
Chwyta, objęła już niskie obłoki
Zbita korona popielato-czarna.

Ssie, ssie, pochłania półblask, światłość chorą,
Powiewa liści szumiącą żalobą —
Zniknęło niebo, niema pół, dróg, borów —
Tylko on, wieczór, olbrzymi baobab.

A nad wąwozem, gdzie gałęzie ścieśnił,
I gdzie nurt nocy strumieniem pomyka,
Grają tęsknotą swej ostatniej pieśni
Świerszcze, słowiki smutne października.

LÈNA SÖLM

POWRÓT ANNY KLEBST

Nowela

Miasteczko, które Annabel Catally wybrała, jako zaciszne azylum po długich latach triumfu i sławy, wyglądało, jak wycięty z białej tektury, pogodny żart Pana Boga. Maleńkie domki patrzyły prosto w słońce oczami zielonych okiennic, a symetrycznie wzdłuż żółtej szosy rosnące drzewa owocowe równą linią wytykały życie i upodobania mieszkańcom Sounethalu. Kwadratowy rynek znali dobrze rodzice Annabel—czcigodny nauczyciel szkoły i jego łagodna żona—państwo z zeszlówiecznej miniatURY—dziś spoczywający na małym cmentarzyku; i tak samo, jak niegdyś ich, wabiły dziś zmęczoną Annabel ogromne, napełnione szafirowym i pomarańczowym płynem, słoje w oknie rynkowej apteki.

Kiedy klasyczny owal twarzy „z nieprawdziwego zdarzenia“ zaczął powoli tracić swą doskonałą linię, a blask złotych włosów zaćmiła pajęczyna siwizny, poczuła Annabel Catally—„star“ wszystkich europejskich wytwórni filmowych—że jest ogromnie znudzona. Znadto już się wżarły w „jedyne na świecie“ oczy płomienne pocałunki Jupiterów, i zwolna, lecz nieustępliwie pokrywała się zmarszczek wąskie, ciemne powieki. I tak się jakoś stało, że Annabel Catally wyprawiła bankiet pożegnalny dla wszystkich swych przyjaciół i wrogów, aby po nim, jako zwykła Anna Klebst, poszukać wypoczynku. A, że nie pojechała swem białem autem na Rivierę, ani nie kupiła sobie czarującej haciendy w Kalifornji—było tylko winą jej lekkomyślnego niedoceniań wagi pieniądza, jak stwierdzili obecni na bankiecie przyjaciele i wrogowie. Podobno kiedyś wyrzucała złoto garściami. Dość, że starczyło jej właśnie i tylko na odrestaurowanie jednego z tych małych, pogodnych domków Sounethalu, gdzie ongiś mieszkali jej rodzice, i z którego ona sama, szesnastoletnia wtedy Anni, uciekła w szeroki świat szukać sławy.

Rozumie się, że przyjazd Annabel Catally wywołał w miasteczku konsternację; życie, które na całym świecie rwało się niepowstrzymanym pędem wciąż naprzód, w Sounethalu było ciche i pokorne i prosto stosowało swe kroki do kroków męczzonej reumatyzmem burmistrzowej Reinecke. Ktoś z mieszkańców Sounethalu widział film Annabel—„Niewinną rozpustnicę“, ktoś inny znów słyszał opowieść o jej zerwanem małżeństwie z jakimś australijskim książką, a wielu było takich, którzy przez długie lata wskazywali spracowanymi palcami każdą wzmiankę o niej w stołecznej gazecie:—„to Anni Klebst, ta Catally—córka czcigodnego Ottona Klebsta.“ Przedostała się do słonecznego zakątka niejedna plotka

o ciężkim od pereli i oslepiającym blaskiem brylantów życia artystki, o jej kochankach, liczonych już nie na tuziny, a na setki, o białym jachcie i zaprzęgu z tresowanych fok. Miasteczko, w gruncie rzeczy dumne z Annabel, postanowiło zemścić się za długie lata przytłaczania go błyszczącymi opowieściami o zamorskich cudach—i być nieprzystępnym dla wracającej wędrowniczki.

Ciężkie były pierwsze lata pobytu Annabel w domu jej rodziców: oglądano ją, to jak nawróconą grzesznicę, to znów, jak jakiś rzadki okaz kosztownego zwierzęcia. Wokół zmęczonej, starej kobiety czaiła się nieufność—zarówno w uśmiechach odwiedzających pań, jak w pokornych ukłonach obdarowanych biedaków. Ta nieufność miała swoje powody: co, naprzykład, kryło się w wielkich, pstrych od ponalepianych na nie kartek z nazwami dalekich miast, kufrach, kiedy całe miasteczko znało tylko czarne, skromne sukienki i lekkie płaszczyki artystki? Dlaczego Annabel płaciła za wszystkie kupowane produkty bez targu, przeciwnie, z uśmiechem zażenowania na ustach, kiedy wszyscy wiedzieli dobrze, że Müller, kupiec z rynku, obdzierał ją bez litości, a ona nie była bogata?

Niechęć Sounethalu znikła pewnego dnia tak, jak rozpryskują się bez śladu w powietrzu różnobarwne bańki mydlane; powód był nie byle jaki, a raczej powodów było dwa. Po pierwsze: kiedyś, pod biały domek artystki zajechała bezszelestnie szara limuzyna, a z niej wyskoczył Couny Heer, znany aktor stołecznych teatrów, bożyszczę tłumów; tego dnia, zamiast „zadierać nosa w górę“, jak określały odosobnienie Annabel Sounethalskie „wyroczenie“—burmistrzowa Reinecke i wdowa po notariuszu p. Lercke,—aktorka zaprosiła całą elitę miasteczka do siebie na podwieczorek. Długo drżało słońcem rozgrzane powietrze miasteczka od westchnień i wspomnień o oczach i ustach Couny'ego! A potem wybuchła ta historia ze szpitalem Sounethalu, kiedy Annabel z własnej, nieprzymuszonej woli oddała na własność miastu swój duży, ślicznie utrzymany ogród, leżący za białym domkiem. Fala rozczulenia dla niepodrodnej córki czcigodnego Ottona Klebsta ogarnęła Sounethal; na przyjęciu u burmistrzowej podano własnoręcznie przez gospodynię upieczony tort z inicjałami „A. K.“, a Müller, kupiec z rynku, obniżył cenę cukru o 6 fenigów na kilo. Annabel przestała być obcą.

Ryszard Wiedmann mieszkał w Grünethalu; bliźniacze miasteczka, o kilka zaledwie kilometrów oddalone łączyła żółta wstążka szosy, ale imię An-

nabel oddawna przestało być dla Ryszarda magnesem. Wiedział, że wróciła, słyszał o niej wiele; ale dziwnie jakoś zszarzała w jego pamięci szesnastoletnia Anni, która kiedyś, jakże dawno temu! rozdarła jego młode serce złamaniem przysięgi wiecznej miłości. Zresztą, Boże mój! w sercu Ryszarda nie było dziś miejsca dla nikogo, prócz Klärchen, „kwitnącej gałęzi migdałowej“, umiłowanej córeczki, jedynej pamiętki szczęśliwego i spokojnego pożycia z nieboszczką, panią Wiedmann. Gdyby ktoś powiedział Ryszardowi z najgłębszego dna istnienia Annabel wyłowioną prawdę—że przecież tylko dla niego i przez myśl o nim powróciła do Sounethalu — wzruszyłby ramionami. Być zegarmistrzem i wsłuchiwać się długo w bicie maleńkich serduszek, żyjących wieczną adoracją mijającego czasu—znaczy znać prawdę o znikomej wartości chwil, które już przeszły. A Ryszard był przecież jedynym właścicielem sklepu, na którego szyldzie wymalowany sędziwy Chronos, w niepojętem porozumieniu podawał przedającym Parkom ogromną, złoconą „cebule“...

Kiedy Annabel hojnym gestem ofiarowała mającemu się otworzyć szpitalowi swój żyrandol — tęczo-we krople kryształu, w które była zaklęta tajemnica miłości jakiegoś już zapomnianego wielbiciela—miasteczko postanowiło zrewanżować się aktorce. Niech wie, że i Sounethal potrafi zapłacić sercem za serce, a burmistrzowa Reinecke i pani Lercke mają swoją ambicję! Długo trwały narady obu pań z nauczycielem szkoły powszechnej i pastorem; w rezultacie postanowiono otworzyć szpital uróczyście w dzień urodzin Annabel, prócz tego zaś, w wielkiej sali szpitalnej, wśród chłodnej białości świeżo lakierowanych ścian, wyświetlić w dniu tym jeden z jej filmów. Wypożyczeniem akcesoriów zajął się pan pastor, który specjalnie w tym celu pojechał do stolicy; na jego też odpowiedzialność złożono wybranie dramatu o treści moralnej. „Niech nie będzie nagości, ani żadnej zdrady“—zadecydowała wdowa po notariuszu. —„Tej biednej Anni przykro byłoby nawet, gdybyśmy widzieli, jaka była jej młodość!“...

Cieszyło się miasteczko, cieszyła i Klärchen. Kino—„przecież gdzieś ludzie żyją inaczej.“ Jedna tylko Annabel, jak zawsze zażenowana, myślała z przykrością, że znów zobaczy siebie młodą i smukłą. Wielkie jest błogosławieństwo starości:—pozwala bezkarnie obwisać zwiotczalym piersiom i kryć spuchnięte stopy w groteskę prunelowych pantofli. Wszystko jedno, jaki jest ten film z przed lat trzydziestu kilku—ale na nim ocalały matowe refleksy marmurowego karku i strzelista smukłość wąskich ud. A dziś? Czy rzeczywiście tak wielkie jest błogosławieństwo starości?

Obraz był wytarty i zły; stumetrowe napisy i wzruszenie, maskowane ciężkimi westchnieniami. Annabel nie widziała nic z tego, prócz siebie samej. Ona. Młodość. Słońce w mglistym Londynie i słońce w kazamatkach Berlina. A dziś? Sounethal i burmistrzowa Reinecke. Ryszard — głupstwo, które chce żyć, choć już dawno umarło. Żyrandol i skrawek ogrodu—trzeba kupić ciepło czyichś serc. Poco to wszystko?..

Spotkanie było nieuniknione i konieczne: Klärchen nie mogła przepuścić takiej okazji. Annabel—legenda minionego pokolenia, jakieś tam posłyszane szepty o „papciu“ i sławnej pani. Zagasło światło, które sączyły łagodnie kryształowe pryzmy żyrandola; tuż przed Annabel majaczyła w ciemności blada twarzyczka „kwitnącej gałęzi migdałowej“ obok lśniącej łysiny papcia! Annabel—to dziś sześćdziesięciolecie twoich urodzin! Stara kobieto! uspokój swe głupie, młode serce!

Figlarna dziewczyna na ekranie tuli się do muskularnego covboy'a. Niedługo pojedą razem w świat. Pokażą nam stopy, porośnięte zieloną, bujną trawą. Jeden skok—i już siedzą na koniu, spleceni ramionami.

— Papciu — dziewczęcy głosik dzwoni w ciemnościach — papciu, jaka niemożliwa suknia!

Tak. Suknia płacze się festonami fałd po ziemi, śmieszna i pretensjonalna. Ale żyje blask oczu. Ale złote włosy tworzą nad skrońmi świetlisty kask. Zegarmistrz z małego miasteczka porusza się niespokojnie; czy to w jego życiu był jasny, wesoły domek, roześmiany pachnącym jaśminem? Anni! przecież ona tu musi być! Gdzie?

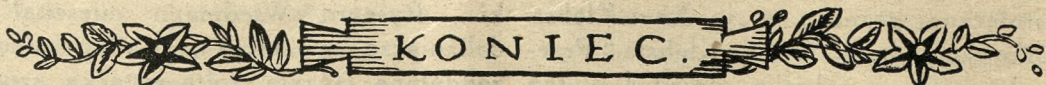
Dziewczyna z ekranu jest już w jakiejś fabryce.

Przegląda papiery. Ukochanego zdradził przyjaciel. Dramatycznie wyciągnięte ręce. Napis:

„Laura ma wielką duszę: nie pozwoli zatruć serca ukochanego jadem rozczarowania i bierze winę na siebie.“

Tak! Laura ma wielką duszę. Tembardziej, że teraz rozumiałe jest wszystko. Stara kobieta wie — niema już szesnastoletniej Anni. Umarła Annabel Catty. Została Anna Klebst. Jakżeż „zatruć rozczarowaniem ukochane serce?“ Za chwilę zablęśnie światło; och! jak brzydkie są lśniące łzy w czerwonej obwódce chorych, starych powiek! Ręce — porysowane sinemi zygzakami żył. Jakże pokazać oczom, które kiedyś kochały, brzemie minionych lat? Czy i on nie ugnie się pod tym ciężarem? Ciężkie, ciężkie jest przekleństwo starości!..

Wesołe są i jasne uliczki Sounethalu; stare nogi, obute w niezgrabne, prunelowe pantofle, ciężko stąpają po ich bruku; to Anna Klebst wraca do swego małego domku.





Fresk na suficie

WACŁAW HUSARSKI

3)

SZTUKA ROKOKA

Jeszcze późny włoski barok wprowadził owe rzu-ty poziome, zdobne już same w sobie, jak wenecka koronka, a na które składa się najbardziej wyszukana kombinacja prostokątu, koła, owalu, elipsy.

Inne kraje nie posiadają tak daleko posuniętego urozmaicenia, przeciętny jednak typ kościoła rokoko-wego jest przynajmniej połączeniem i zrostem planu centralnego z podłużnym. Związek, wzajemne prze-nikanie się i stapianie fragmentów przestrzennych, zacieranie ścisłych granic pomiędzy temi fragmenta-mi, niespodziewane przecięcia płaszczyzn, przypomi-nające układ kulis teatralnych, scenicznie działające wykroje w ciemnych ścianach, odsłaniające nieocze-kiwany widok na jasno oświetlone kaplice, kapryśny bieg gzymsów, falujące sploty ornamentów, śrubowe skręty giętych kolumn — cały ten pozorny chaos zle-wa się w jedną i jednolitą migotliwą impresję ruchu bez kresu i granic, w której wzrok niezdolny jest do-strzec poszczególnych części. Wyobraźnia przestrzen-na i plastyczna osiąga w tych dziełach ostateczny chy-ba stopień swych możliwości, granicząc już z kon-cepcją matematyczną. „Okno kapitułuje tutaj“, jak po-wiada Wölfflin.

Jeżeli w budownictwie świeckim to piętzenie komplikacji, to lubowanie się w złudzeniach prze-strzennych wydać się musi jedynie kantowską bezce-łową igraszką, sztuką dla sztuki, — to natomiast w ar-chitekturze kościelnej posiada ono jednak pewien cel, aczkolwiek nietyle architektoniczny, ile raczej uczu-ciowy. Chodzi tu o właściwe owej epoce połączenie mistyki ze zmysłowością; chodzi o to, żeby przez zu-pełne oszołomienie zmysłów dać wrażenie rzeczy nad-zmysłowych; żeby przez omamienie, przez zatarcie ja-

сноści wyobrażeń przestrzennych stworzyć wizję bytu pozaprzestrzennego. Efekt ten oparty jest jednak, jak widzimy, głównie na złudzeniu, na zacieraniu jasno-ści wyobrażeń, na wywoływaniu iluzji przestrzennych, w czym ważną rolę odgrywają efekty światła i cienia. Tutaj to właśnie architektura wkracza w dziedzinę ma-larstwa, które do odtworzenia przestrzeni trójwymia-rowej, rozporządzając tylko dwuwymiarową płaszczy-zną, opierać się musi na iluzji przestrzennej, używając światła i cienia, jako głównych środków do wywoła-nia tej iluzji.

To też kiedy warunki techniczne stawiają wresz-cie tamę kinetycznej i przestrzennej wyobraźni archi-tekta, zjawia się malarstwo, jako środek pomocniczy pierwszorzędnej wagi. Tutaj to wreszcie znajduje ono pole do wykazania wszystkich swych możliwości.

Wiedza anatomiczna, której zdobywanie groziło dawniej kłutwą, stanowi obecnie podstawę wyszkole-nia i pozwala ukazywać ciała w najnieprawdopodob-niejszych ruchach, skrótach i skrętach.

Znajomość perspektywy, w pocie czoła zdobywa-na niegdyś przez Uccella, dopełniana kolejno przez Masaccia, Michała-Anioła, Veronesa, z ucznia na mi-strza doskonałona przez wieki i pokolenia i w XVII jeszcze stuleciu stanowiąca specjalność najwybitniej-szych tylko mistrzów — staje się teraz elementarną na-uką dekoratora. Dołącza się do tego doskonała znajo-mość efektów świetlnych i powietrznych, otwierająca drogę impresjonizmowi. Dzięki tym środkom można dziurawić ściany, rozdzierać stropy i sklepienia; dzie-ki nim, można odsłaniać ludzące widoki nieprawdopo-dobnych kolumnad, niewiarogodnych galeryj, ganków, zawieszonych w przestrzeni, jak legendarne ogrody



Triumf poezji

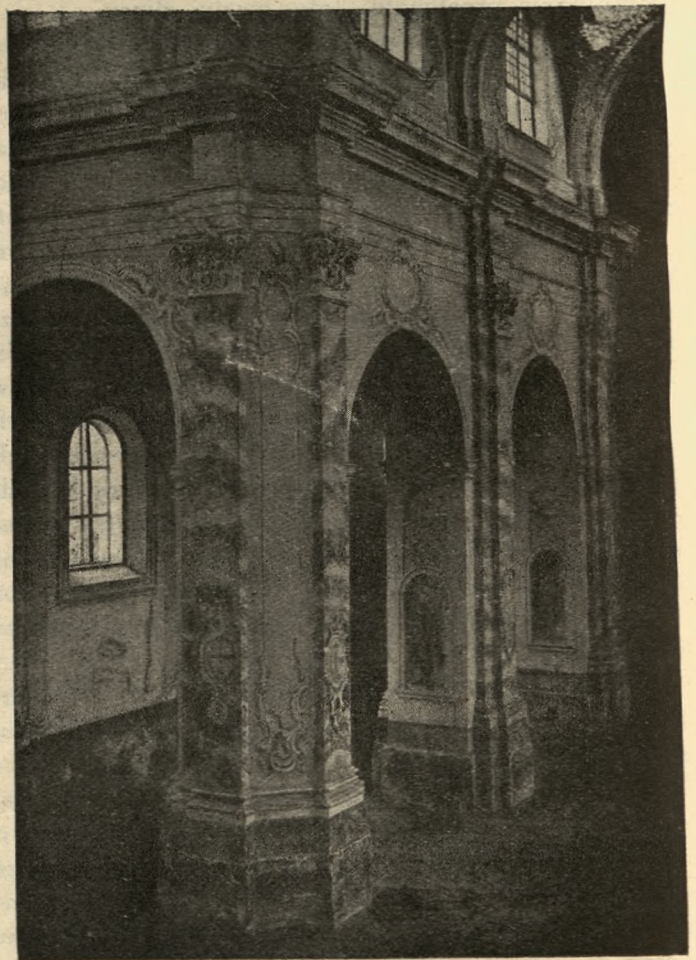
Semiramidy. Dzięki nim można rozsuwać zasłonę malowanych chmur, niby kurtynę teatralną, poza którą igrają i kłębią się swawolne rzesze puciołowatych jezuickich cherubinków, lub mitologicznych amorków. Można pokazywać, jak w niewiarogodnie śmiałych pozach płyną na rydwanach z chmur święci z kalendarza, lub bogowie z owidjuszowego Olimpu; jak tanecznym ruchem, baletową woltą wzbijają się przed tron Najwyższego męczennicy Pańscy i święte dziewice. A cała ta akrobatyka niebiańska, z powodu zupełnego opanowania środków malarskich, z powodu współdziałania sztukaterji „en trompe-l'oeil”, — przybiera cechy złudzenia optycznego, granicząc już potrosze z czarnoksięstwem, z szarlatanerią, z magicznymi sztuczkami Cagliostro. Jest to najbardziej zdumiewające połączenie fantastyki z naturalizmem, stworzone, by oszłomić zmysły ucieleśnioną wizją spraw niebiańskich. Barokowa dążność do oddania rzeczy irrealnych tak, jakby działały się w rzeczywistości, znajduje tu najdosadniejsze urzeczywistnienie. Zdobione w ten sposób wnętrza stapia się z nieskończonością przestrzeni.

Znamienne jest, że dochodząc w odtworzeniu światła, przestrzeni i wypełniających tę przestrzeń architektur do owej ostatecznej granicy naturalizmu, na której urzeczywistnia się starożytna legenda o winogronach Zeuxisa i zasłonie Parrasiosa, malarze rokokowi nie usiłują bynajmniej wyjść poza świadomą stylizację w odtworzeniu postaci ludzkiej. Przesadne wydłużenie figur, maleńkie główki, zbyt wysokie biusty, wszystko to jest świadomym zupełnie odstępstwem od ścisłej prawdy naturalistycznej. Odstępstwem takim

jest również gest owych postaci, — gest wytwornych dam i kawalerów, grających teatr amatorski.

Rzeźba nie myśli bynajmniej ustępować pierwszeństwa malarstwu. I ona również wznosi się teraz do subtelności wirtuozowskich, graniczących z prestidigitatorstwem. Specjalnością nprz. włoską owej epoki są sztuczki naturalistyczne, konkurujące z najdalszymi możliwościami malarstwa. Cappella Sansevero w Neapolu stanowi istne panopticum podobnych osobliwości. Tam to znajduje się ów *Christo velato* Sammartina, — Chrystus, spoczywający na poduszkach i spowity w całuny, które, dzięki kombinacji szorstkiego i polerowanego marmuru, zdają się lśnić, jak srebrzysty welon jedwabny. Do tej samej kaplicy opracowane jest *Uwolnienie z łańcuchów błędu* Francesca Quierola, gdzie sztuczka polega na wyrobieniu w marmurze owych właśnie łańcuchów o najzawilszej plątaninie oczek.

Stosowanie metod malarskich do rzeźby owego okresu nie kończy się jednak na tego rodzaju popisach: metody iluzjonistyczne, właściwe malarstwu, są tu na porządku dziennym. Nie podkreślono dotąd w sposób dostateczny, że rzeźbiarze ówczesni przy kształtowaniu form biorą stale pod uwagę skrót, który powstawać będzie po umieszczeniu posągu na przema-



Fragment wnętrza kościoła w Lubieszowie

czonej dłań wysokości, a zatem przy oglądaniu go zdolu. Stąd to pochodzą owe karykaturalne nieraz dysproporcje, owe wydłużenia postaci, owe deformacje poszczególnych członków, lub rysów twarzy, które zadziwiają nas przy oglądaniu owych dzieł zbliska, a nikną, kiedy rzeźba umieszczona jest na przeznaczonym dla siebie miejscu.

Ten sposób kształtowania stanowi specjalność Niemiec, gdzie rzeźba rokokowa, podobnie, jak rokokowa architektura, znajduje wogóle najbardziej krańcowy wyraz, przejmowany potem przez kraje północne, między innymi i przez Polskę. Tutaj to szal kinetyczny rokoka osiąga najwyższy stopień napięcia. Tutaj ze swych zbyt ciasnych nisz wychylają się posągi o ekstatycznie aktorskim geście. Po bokach ołtarza prorocy, jak linoskoki, w śrubowym skręcie ciał szukają równowagi na swych wątych cokółkach, lub falujących kroksztynach. Ponad nimi, pośród olśnienia jarzących słońc i skłębionych obłoków, karkołomnie bujają pyzate cherubinki. Po gzymsach przyklękają w locie skrzydlate anioły, brzeżkiem jednego kolana tykając swej podpory architektonicznej. Z ponad menisy gestykują ku nim cnoty teologiczne w modnych światowych szatach, lub w podkasanych klasycznych tunikach, ukazując z pośród draperyj zaróżowione kolano i nieposzlakowany pedicure stóp w oplocie złoconych sandałów,—rokoko bowiem, podobnie, jak późny gotyk, lubuje się w łączeniu mistyki z erotyzmem. Każdy palec gestykulującej dłoni, każda fałda rozwianej szaty, każdy kartusz ornamentacyjny jest tu



Diana i Endymion

ruchem, lotem, przewycięzeniem przestrzeni i praw ciężkości.

Niestety, taniec na linie nie może być położeniem stałym. Sztuka, wznosząca się na podobne szczyty wyrafinowania, nosi sama w sobie zarodek swej śmierci. Jeszcze w czasach najświetniejszego jej rozkwitu występują objawy reakcji przeciwko jej krańcowości,—reakcji, która w drugiej połowie w. XVIII przybiera charakter wszechogarniającego ruchu. Przychodzi wreszcie Wielka Rewolucja, kładąca ostateczny kres tej koncepcji artystycznej, związanej nierozłącznie z życiem i obyczajem ancien régime'u.

W DZIESIĘCIOLECIE ODRODZENIA CZECHOSŁOWACJI

„Listopad—to niebezpieczny miesiąc w Polsce”—powiedziano niegdyś, gdy w poszumie wichury jesiennej i w mgłach długich nocy dojrzała konspiracja śmiertelnej walki z złą mocą niewoli. A po wieku blisko, zdaje się, jakby psychika dziejowa podsłuchała ten aforyzm i uczciła niezłomnych bojowników wolności, wszędzie na jej frontach walczących, i w rocznicę ich wielkiego porywu obaliła tyranje świata, tworząc w miesiącach jesieni nową wiosnę ludów.

Wkońcu października i w listopadzie 1918 roku dziesiątkom gnębionych narodów zajaśniała wolność.

Na kilka dni przed Polską odzyskał ją naród, organicznymi węzłami krwi słowiańskiej i wspólnością dziejową najbliższą i najdawniej z nami złączony — Czechy, dzisiejsza Czechosłowacja.

A dziwnie podobne są dzieje obu ludów w czteroletnim zmaganiu się tytanicznej walki obu półkul

świata. Jak dawne Królestwo przez moskali, tak czesi gnębieni i uciskani są na terenie własnym przez austrjaków; tak samo iść muszą poniewoli do wrogich szeregów i tak samo, gdy tylko zdarza się możliwość, tworzą za granicami kraju ochotnicze szeregi. Drużyna czeska w Rosji, kompanie ochotnicze we Francji, formacje wojskowe w Ameryce, które, z chwilą przystąpienia Stanów Zjednoczonych do walki, przybywają na front zachodni.

I tak samo, jak polski, przebija się w Rosji korpus czechosłowacki, zażarcie walcząc z bolszewikami, zdobywa Syberję i przez Azję wraca do Europy.

I tak samo, jak z Polski niemcy, o kilka tylko dni wcześniej, ustępuje z Czech złamana potęgą Austrii, gotowa w ostatniej chwili do spóźnionego „sojuszu” z gnębionym przez wieki narodem. Wśród ogólnego, żywiołowego entuzjazmu nastąpiło w d. 28

października opublikowanie orędzia praskiego Komitetu Narodowego, proklamującego utworzenie samodzielnej Republiki Czechosłowackiej.

Bo i tu w podobieństwie dziejowem, jak niegdyś polacy z gnębionymi przez Niemców Litwinami, zawarli czesi przymierze z wyzwolonymi z ucisku przedwojennych Węgier Słowakami, tworząc Rzeczpospolitą dwóch bratnich ludów.

Od tej szczęśliwej chwili państwo czechosłowackie rozwija się w olbrzymim tempie gorączkowej pracy kulturalnej i gospodarczej. Tworząc, tak jak my, państwowość własną samodzielnie, z „niczego“, dochodzi w ciągu migawkowo krótkiego okresu historycznego do wielkich rezultatów.

Twardo i dzielnie umie pracować ten naród. Przeprowadza w lat dziesięć najważniejsze reformy: nową konstytucję demokratyczną, stabilizację waluty; prawodawstwo robotnicze; rozwija szkolnictwo, którego budżet wzrasta przez lat dziesięć ze 112 do 893 milionów koron. Nawet tak trudna wszędzie reforma rolna przechodzi łatwo w Czechosłowacji, dzięki istniejącym na terenie kraju olbrzymim latyfundjom magnatów niemieckich i węgierskich, które oddane zostały ludowi, zwiększając wydatnie rozwój kultury mas włościańskich, dzięki świetnie zorganizowanej pomocy finansowej rządu i działalności kooperatyw kredytowych.

W atmosferze wolności rozkwita kultura słowacka, całe szkolnictwo średnie i uniwersytet w Bratysławie z nowym, słowackim językiem naukowym.

Wybitnie rozwija się również przemysł, przynosząc krajowi stały, od lat już czterech, bilans z saldem aktywnym przeszło dwóch miliardów koron. Rozkwita wspaniale lotnictwo, zarówno w komunikacji, jak i w budowie samolotów i silników; spada do naj-

mniej w Europie cyfry (32 tysiące) ilość bezrobotnych, podczas gdy suma oszczędności poszczególnych obywateli wynosi obecnie, również jedyną chyba w Europie, cyfrę: około tysiąca złotych na każdego członka ludności!

Tak dorobił się naród, który jednocześnie, jak i Polska, daje gościnnie przytułek wszystkim, unoszącym głowy z bolszewickiego pożaru. Kolonia rosyjska w Czechosłowacji jest jedną z najliczniejszych w Europie. I tak, jak polski, posiada naród czechosłowacki wielkiego przewodnika. Niemordowany w pracy dla dobra kraju, otoczony czcią powszechną, stoi na czele państwa, trzykrotnie wybierany na prezydenta, Tomasz Masaryk.

Współpracując zawsze w polityce zagranicznej z państwami, dążącymi do utrzymania pokoju i postępu ludzkości, utrzymuje Czechosłowacja stałą łączność z Polską, łączność, coraz bardziej ożywioną i owocną na polu wspólnej pracy politycznej, ekonomicznej i kulturalnej. Pokrewieństwo rasowe, językowe i kulturalne, konieczność utrzymania międzynarodowego autorytetu, zachowania pokoju i obrony niepodległości—łączą oba narody, których jedność jest silną podwaliną wspólnego bytu.

W tem chlubnym dziesięcioleciu obywatelce czechosłowackiej przypada poważna część zasługi.

Znamy tę pracę i powtórzyć możemy, wzorem pochwały Wielkiej Rewolucji, że kobieta czechosłowacka „dobrze się zasłużyła ojczyźnie“. Szczegóły tej pracy, rozwój jej i znaczenie—będą tematem oddzielnego artykułu.

Dziś, w chwili gdy cała Czechosłowacja obchodzi radośnie dziesięciolecie odrodzenia, łączymy się z bratnim narodem w jego święcie i z głębi serca ślemy życzenia najlepszej, promiennej przyszłości! N. J

Ś. P. JÓZEF KOTARBIŃSKI

Zmarł nestor sceny polskiej, Józef Kotarbiński. Dziwnym wyrokiem opatrności, odszedł w chwili, gdy Polska miała uroczyste obchodzić jubileusz pięćdziesięciolecia Jego pracy artystycznej, a sześćdziesięciolecia—literackiej.

Odszedł w zaświaty, po wyższą, doskonalszą nagrodę za serce, jak łaża, czyste, za charakter przedziwną szlachetność, za niemordowany trud całego życia, w którym wielki talent oddał na usługi wysokiego ideału polskiego słowa.

Kotarbiński był uczniem Szkoły Głównej, jednym z ostatnich, żyjących epigonów tej wielkiej, zasłużonej uczelni. Po ukończeniu jej, rozpoczął pracę publicystyczną w Przeglądzie Tygodniowym, zyskując

niemal odrazu poważne stanowisko w ówczesnej prasie. Wkrótce jednak pociągnęła go scena i w r. 1877 zadebiutował w teatrze Letnim, w roli Zbigniewa w „Mazepie“. W „Mazepie“, granym wówczas jako tragedia p a n a J. S.!

Tego „pana J. S.“ wprowadził właściwie Kotarbiński na scenę polską. On pierwszy odczuł sceniczną wartość utworów Słowackiego, nie lękał się ich i podczas swej sześćdziesięcioletniej dykcji w teatrze krakowskim wystawił szereg arcydzieł, których obawiano się przedtem, a które stawały się zawsze wielkim triumfem genialnego dyrektora.

Ale szeroki umysł i kultura literacka Kotarbińskiego nie dały mu zasklepić się w jednym kierunku

Jako człowiek, już wówczas niemłody latami, lecz młodzieńczy duchem, idzie z żywymi naprzód, wprowadza na scenę najświetniejszych przedstawicieli Młodej Polski, neoromantyków swoich i obcych, kreując sam jednocześnie w ich sztukach szereg najwspanialszych swych ról.

Pracownik niezmordowany, nie zaniedbuje przytem literatury, wydając dzieła takie, jak pomnikowe Studjum o Wyspiańskim, „Pogrobowiec romantyzmu“, „Z dziejów dramatu i komedji teatrów warszawskich“ i inne. Do ostatnich dni życia pisze jeszcze monografię swej dyrekcji w Krakowie i tę pracę śmierć mu przerywa.

Idealnego serca człowiek i wielki artysta pozostanie nazawsze w pamięci wdzięcznych rodaków.

N. J.

Z TEATRÓW

TEATR LETNI

„Premjowana piękność“ — krotchwila w trzech aktach
Władysława Jastrzębca-Zalewskiego. Reżyser Jan Janusz. Dekoracje
Antoniego Aleksandrowicza.

„Rzecz dzieje się w jednym z większych miast Ameryki“ — tak nas poinformował program teatralny i tak właśnie niewątpliwie po amerykańsku brzmią imiona i nazwiska występujących osób. Treść krotchwili jest również niby amerykańska, zbudowana na kaprysie panny-miljarderki. Estella Sealsfield posyła swoją fotografię na konkurs piękności, ale podpisuje ją zmyślonem nazwiskiem, pospolitem zresztą w Ameryce — Mary Smith. Wynika z tego qui pro quo i niemożliwy bałagan. Bo istotna Mary Smith jest niepokaźnem stworzeniem, udzielającym lekcji fortepianu.

Według amerykańskiej recepty tłuką się po scenie agenci kinowi, reporterzy, ptaki niebieskie, kwakierki. Wszystko to depce sobie po piętach, klóci się, nawet strzela z rewolweru. Nieporozumień jest tak wiele, że ostatecznie musi się to skończyć — małżeństwami. Niestety, jednak, krotchwila p. Zalewskiego jest sama nieporozumieniem, mało dowcipnem i mało zręcznem. Autor „Gobelinu“ powinien był nieudaną sztukę zostawić w tece, tembardziej, że stać go na napisanie dobrej, polskiej komedji.

I aktorom nie opłacił się trud. Byli jakby nie w swojej skórze. Coś nieszczerego było więc w grze pp. Gromnickiej i Majdrowiczówny, nie śmieszyła kwakerska sylwetka p. Łaskiej. Panowie także nie dawali sobie rady z rolami, z których może nic nie można było wykrzesać. Orwid, jako agent kinowy Bings, był najbardziej ruchliwy, ale trochę z wasze-c.a, trochę z Pragi, czy Radomia. Nie wyczuwało się chicagoskiego swędu...

H. N.

Kobieta w świecie i w domu

ZAWÓD, KTÓRY NIE ZAWODZI

Rozwój opieki społecznej nad matką i dzieckiem otwiera nowe pola pracy kobietom. Nie trzeba długo dowodzić, że są to dziedziny pracy niezmiernie odpowiedniej dla kobiet i bardzo wdzięcznej pod względem uczuciowym i społecznym.

Wykwalifikowane pielęgniarki żłobkowe nie czekają na posady, a przeciwnie, instytucje zamawiają sobie zgóry nowe siły fachowe, zanim jeszcze one wyjdą z kursów.

Kursy dla pielęgniarek żłobków z ramienia Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej odbywają się w Państwowej Szkole Higieny w Warszawie (Chocimska 24) i trwają po 6 miesięcy. Również w Poznaniu otwarto podobny kurs.

Z ukończonego niedawno kursu dla pielęgniarek żłobków w Warszawie wyszło 48 absolwentek, i wszystkie uzyskały natychmiast posady w żłobkach fabrycznych i na Stacjach opieki nad matką i dzieckiem.

j. k.

INTERESUJĄCY I POŻYTECZNY KURS

Zarząd Główny Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet w Warszawie otworzył jedno-miesięczny kurs instruktorski dla organizatorek oddziałów i placówek społecznych i oświatowych na terenie Związku. Kurs trwał wciągu października w Warszawie i obejmował 6—7 godzin wykładów dziennie.

Program kursu obejmował część ogólną, omawiającą najważniejsze zagadnienia życia społecznego, a obowiązującą wszystkie uczestniczki, oraz 4 grupy specjalne: a) doksztacanie dorosłych i młodocianych, b) organizacja bibliotek i świetlic, c) opieka nad dzieckiem i matką, d) wytwórczość gospodarcza kobiet. Kurs był bezpłatny; uczestniczki otrzymały bezpłatne mieszkanie w bursie, korzystały ze wspólnych tanich obiadów, śniadań i kolacji, oraz 66 proc. zniżki kolejowej; w razie braku funduszy otrzymały zasiłek po 3 zł. dziennie na osobę.

Kurs tak pożyteczny, o warunkach tak dogodnych dla słuchaczek, będzie zapewne jeszcze niejednokrotnie powtórzony, gdyż niewątpliwie zainteresował osoby, które solidaryzują się z działalnością Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet i pragną pracować w dziedzinie społecznej.

OFIARNOŚĆ ANGIELEK

Angielki kochają gorąco swoją ojczyznę, są bardzo ofiarne i śpieszą zazwyczaj z pomocą na każde wezwanie rządu brytyjskiego, gdy chodzi o złożenie okazałej nawet sumy na cele dobroczynne, czy kulturalne.

Przed paru miesiącami głośnem echem po całej Anglii odbiła się sprawa hojnego daru matki tragicznie zaginionej lotniczki, miss Elsie Mackay, hrabiny Inchape, która złożyła na ręce lorda Churchilla, kanclerza pieczęci w parlamencie angielskim, okazały legat na cele narodowe, w sumie 500.000 funt. szterl. Dar ten, jako fundusz pamiątkowy imienia Elsie Mackay, został przeznaczony przez matkę bohaterki wyprawy transatlantycznej na pokrycie długów narodowych, National Debt.

Miss Elsie była jedną z pierwszych angielenk, która otrzymała świadectwo pilotki przed kilkoma laty i odtąd marzyła już bezustannie o dokonaniu lotu transatlantycznego. Zginęła, jak wiadomo, bez wieści, wraz ze swym pilotem, kapitanem Hinchliffem.

Miss Mackay była posażną panną; pozostałe z posagu jej 500.000 funt. szterl. zrozpaczona matka przekazuje na skarb brytyjski.

Teraz znowu czasopisma londyńskie donoszą o darze lady Hustone, która śpieszy z pomocą rządowi brytyjskiemu w utrzymaniu pięknych ogrodów botanicznych w Londynie, zwanych Royal Botanic Gardens, w Regent Park, które, dzięki zmiennemu i ostremu klimatowi na wyspie Albjonu, pochłaniają olbrzymie sumy na ogrzewanie i oświetlenie cieplarni.

Lady Houston, wdowa po znanym bankierze angielskim, przeznaczą z własnych funduszy 3.000 funt. szterl. rocznie na przeprowadzenie w ogrodach tych rozmaitych ulepszeń, aby najszersze warstwy społeczeństwa angielskiego mogły korzystać z parków, napawając się widokiem wspaniałych roślin egzotycznych. Będąc sama ogromną miłośniczką kwiatów i posiadając wspaniale prowadzony ogród przy pałacyku swym na przedmieściu Londynu, lady ta nie mogła pogodzić się z myślą, że Royal Botanic Gardens zaczynają podupadać z każdym rokiem, stając się dla państwa brytyjskiego ciężarem ponad siły. Dziś wspaniałe te parki, dzięki jej ofiarności, zostały uratowane.

H. S.

ZWYCIĘSTWO LOTNICZKI ANGIELSKIEJ

W świecie lotników nowa sensacja i nowe zwycięstwo w strefie powietrza, które przypadło w udziale znanej lotniczce angielskiej, lady Heath, dawniej p. Elliott Lynn.

Latając któregoś dnia nad lotniskiem w Croydon, na aparacie z silnikiem „Circus“, osiągnęła ona rekord wysokości: — uniosła się na przeszło 26.000 stóp ponad ziemię. Dodać należy, że poprzednio brane przez lotników angielskich wysokości nie przekraczały 20.000 stóp — aczkolwiek nieoficjalne rekordy wysokości dochodziły już do 30.000 stóp.

W każdym bądź razie dzielna lady Heath jest pierwszą z kobiet, która dokonała tego śmiałego wyczynu.

H. S.

MŁODZIUTKA PILOTKA AMERYKAŃSKA USTANOWIŁA NOWY REKORD WYSOKOŚCI

17-letnia panna Eleonora Smith wzięła w Nowym-Yorku rekord wysokości pilotek, wznosząc się na 3555 metrów.

N. J.

ANKIETA

Pragnąc poddać czytelnikom naszym, chcącym zabrać głos w „Mównicy“, temat do dyskusji i zarazem dopomóc do wyjaśnienia i omówienia jednej z najbardziej w życiu współczesnej kobiety palących spraw codziennego bytu, Redakcja „Bluszczu“ ogłasza niniejszą ankietę.

Doniosła sprawa pracy zawodowej kobiet nie jest jeszcze dotychczas rozstrzygnięta w duchu dla nich pomyslnym. Zarówno dążenie do samodzielności, niezależności materialnej, jak i konieczność życiowa — pchają większość kobiet do pracy zarobkowej. Wiele z pośród nich, nie wychodząc z małżeństwa, musi wystarczać sobie materialnie; inne, nawet po zamążpójściu, zmuszone są również dopomagać swą pracą rodzinie, której mężczyzna sam w dzisiejszych warunkach utrzymać nie jest w stanie. Czy jednak kobieta, pracując ze zdwojonym wysiłkiem, — gdyż zwłaszcza, jeśli jest żoną i matką, dźwiga podwójne obowiązki życiowe, — znajduje dla swej pracy uznanie, czy jest traktowana i wynagradzana narówni z mężczyzną? W większości wypadków, niestety, nie! Na tegorocznej konferencji pracy w Genewie delegatki wszystkich krajów stwierdziły, że zarówno teoretycznie w ustawodawstwie, jak i w praktyce, kobieta nie zajmuje stanowisk równorzędnych z tak samo wykwalifikowanym mężczyzną i nie otrzymuje równej płacy. W Polsce, posiadającej jedną z najliberalniejszych i najbardziej demokratycznych konstytucyj, teoretycznie niema żadnych różnic w tym względzie, np. w urzędach państwowych. W praktyce jednak słyszy się wiele o różnych odchyleniach od teorii. Obok kobiet, zajmujących poważne stanowiska, znane są fakty, że kobiety, posiadające tytuły naukowe i no-

szące nazwiska, znane w pracy naukowej i społecznej, umieszczane były pod zwierzchnictwem mężczyzn, stojących znacznie niżej wykształceniem. Mówi się też równie często o nieobowiązkowości, braku inicjatywy, niepoważnem traktowaniu pracy przez kobiety i t. p., w czym jakoby szukać należy przyczyny, że dotychczas większość kobiet pozostaje we wszystkich instytucjach na niższych stanowiskach.

Pragnąc oświetlić wszechstronnie tę ważną sprawę, Redakcja „Bluszczu“ ogłasza w „Mównicy“ ankietę p. t. „Jak zapatruje się Pani na swoją pracę zawodową?“. W ankiecie tej prosimy o odpowiedź na następujące pytania:

- 1) Jak dawno pracuje pani zawodowo?
- 2) Czy wyłącznie na swoje utrzymanie, czy też dopomagając rodzinie?
- 3) Czy stanowisko i wynagrodzenie Pani są równe stanowisku i wynagrodzeniu mężczyzn z temi samymi kwalifikacjami?
- 4) Czy nie doznaje Pani z racji swej płci jakichkolwiek przeciwności, jak pominięcia w awansie na wyższe stanowisko, niesprawiedliwej krytyki pracy, lub jakichkolwiek w niej utrudnień?
- 5) Jak zapatruje się Pani na celowość swej pracy, czy przynosi ona pani moralne zadowolenie i daje wystarczający byt?

Odpowiedzi prosimy kierować do Redakcji „Bluszczu“ z dodaniem na kopercie napisu: a n k i e t a.

Odpowiedzi nadsyłać można bądź na poszczególne pytania, bądź w formie artykułów, omawiających poruszone kwestje.

Każdej z pań, która życzyłaby sobie tego, Redakcja zapewnia bezwzględne incognito.

SAFFA

(Dokończenie)

Grupa VII — Handel, hotelarstwo, administracja—to jedna z najciekawszych grup. U wstępu do wielkiego pawilonu wita nas kobieta—konduktorka kolejowa—i dowiadujemy się, że w służbie kolei państwowych jest 1078 kobiet, a około 500 pracuje na liniach prywatnych. Dalej—urządzenie stacji radiowej, telefony, telegraf i poczta — wszystko obsługiwane przez kobiety. Związek maszynistek, z maszynami do pisania, adresowania, liczenia; związek urzędniczek i stenografek, i wreszcie oddzielna nisza, gdzie urzędują kierowniczkę biur reklamy, propagandy i ogłoszeń — jest ich kilka.

Malowidła, zawieszane na ścianach, uczą, co powinna, a czego nie powinna robić ekspedjentka sklepowa—jakże przydałaby się u nas taka nauka poglądowa!—i pokazują, jakie były dawniej zajęcia kobiece: noszenie wody, piasku, krawiectwo, utrzymywanie grobów na cmentarzach i t. p.

Z szeregu tablic statystycznych i graficznych wykresów dowiadujemy się, że urzędniczek jest w Szwajcarii 79.000, a z pomiędzy nich tylko 9.500 — zorganizowanych w związki; że większość jest pozbawiona ubezpieczeń na wypadek choroby i starości i nie wszystkie są ubezpieczone od nieszczęśliwych wypadków; że ośmiogodzinny dzień pracy jest rzadkością, a z angielskiej soboty korzysta zaledwie 5% ogółu pracownic; że wreszcie po przesłużeniu roku przysługuje prawo do tygodniowego, płatnego urlopu — nie narzekajmy zatem zanadto na nasze warunki pracy.

Płace są stosunkowo wyższe, niż u nas, ale i wymagania większe, bo z pokazanych obok programów szkół specjalnych widać, że wykształcenie fachowe wymagane jest do każdego zajęcia.

Dział hotelarstwa podał ciekawe cyfry: 38.434 kobiet, zatrudnionych w hotelach szwajcarskich, wo-



Wielki afisz, nawołujący do łączenia się w związki

bec 22.688 mężczyzn; 15 kobiet-dyrektorek hoteli na 308 dyrektorów-mężczyzn, wreszcie 86 kobiet na wyższych stanowiskach w tym dziale, wobec 140 mężczyzn.

Grupa VIII—Nauka, literatura, muzyka—zawierała przede wszystkim zbiór wszystkich dzieł i książek, napisanych przez kobiety, od naukowych aż do podręczników kucharskich i gospodarstwa domowego. Dalej—prasa kobieca: kilkadziesiąt pism różnego typu i wykaz dzienników, dających dodatki kobiecie, a robią to w Szwajcarii wszystkie prawie pisma codzienne. Uwagę zwracała ślicznie urządzona biblioteka-czytelnia z bogatym katalogiem dzieł naukowych, literackich, broszur itp., napisanych przez kobiety. Obok—czytelnia dla dzieci, pełna książek, książeczek obrazkowych, nawet piosenek, których autorkami są same kobiety.

Dalej — specjalna salka muzyki i sala pokazów i konferencyj naukowych.

W tym samym pawilonie umieściła się księgarnia, w której można było nabyć wszystkie wystawione książki i prace.

Grupa IX—Wychowanie—to prawdziwe źródło wiedzy dla matek i nauczycielek. U wejścia instytut J. J. Rousseau zademonstrował nowe systemy wychowawcze; dalej zgrupowały się szkoły, od przedszkoli i szkół powszechnych począwszy, aż do szkół średnich i wyższych. Nie brak tu także zakładów wychowawczych przy klasztorach, które w katolickiej części Szwajcarii są dość liczne.

Związek nauczycielek robót ręcznych pokazał różne systemy nauczania i prace uczennic — od najmłodszych, do kończących szkołę.

Na specjalne wyróżnienie zasługiwał domek Szwajcarskiego Związku Przedszkoli, urządzony jako wzorowe przedszkole, a obok — ogródek, pełen zabawek, gdzie matki, zwiedzające wystawę, mogły za niewielką opłatą zostawiać swe małe dzieci pod fachową opieką.

Grupa X—Praca społeczna—to obraz pracy związków i stowarzyszeń kobiecych, od czysto filan-



Czytelnia i biblioteka

tropijnych począwszy, aż do tych, które walczą o równouprawnienie kobiet. Widzimy więc pracę stowarzyszeń, prowadzących walkę z alkoholem, opiekę nad dzieckiem i matką, opiekę nad dziewczętami, Armje Zbawienia, stowarzyszenia o celach czysto religijnych, a te, które opiekują się żołnierzem, i wiele, wiele innych. Widzimy pokazy pracy i programy szkół i kursów pracy społecznej. Sensację budził wielki, barwny afisz Stowarzyszenia Kobiet, walczących o równe prawa, który poglądowo wykazywał, w jakich krajach, do jakiego stopnia kobiety są równouprawnione.

Grupa XI — Higjena, pielęgniarstwo, sport, gimnastyka—dała ciekawą statystykę, dotyczącą kobiet-lekarek.

Na uniwersytet w Zürichu uczęszczają studentki od 1865 r.; w Bernie od 1872 r., w Bazylei—od 1890 r. Ilościowo na wszystkich trzech, aż do wojny, przeważały rosjanki (było między nimi niewątpliwie dużo polek z rosyjskiego zaboru); drugie miejsce zajmują bułgarki. Od czasu wojny i po wojnie przeważają szwajcarki.

Dalej pokazano różne pola pracy kobiet w tym dziale: pracę lekarki szkolnej, higienistki, pielęgniarki, akuszerki; pracę diakonis szwajcarskich, wreszcie kobiet lekarek-misjonarzy w Upidi i w Kamerunie.

Oddzielny, śliczny domek zajmował wzorowo urządzony żłobek dla niemowląt, gdzie przez wielkie szyby można było obserwować zdaleka śpiące dzieci i pracę pielęgniarek. W tym samym domku dało obraz swej pracy Stow. „Kropla mleka“, które wysyła higienistki do niezamożnych domów, roztacza opiekę nad niemowlętami i uczy matki pielęgnowania dzieci.

Dwa pokoje: taki, jakim go zastaje higienistka, i taki, jakim być powinien—dawały dokładny obraz



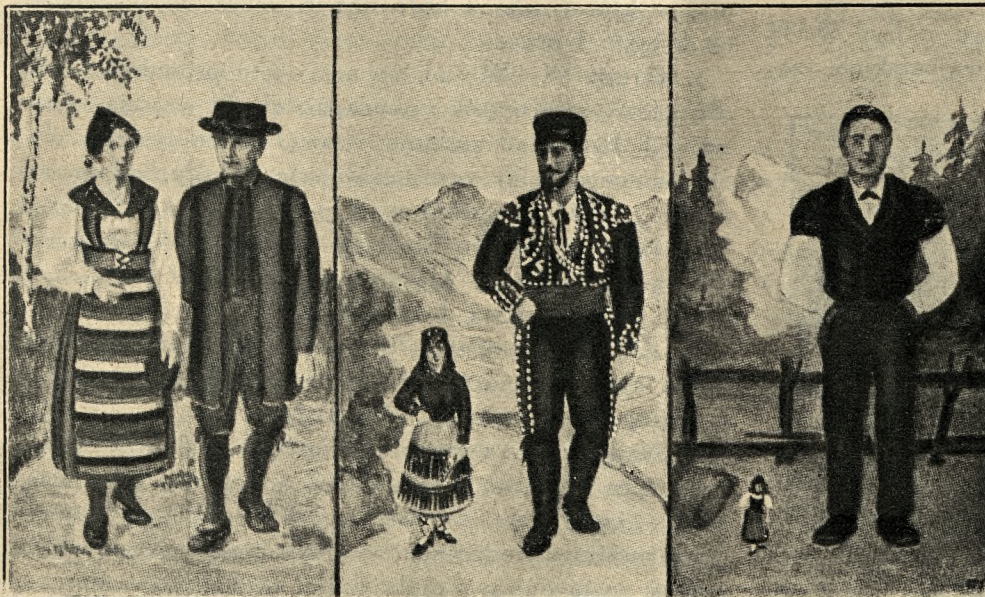
Wzorowe przedszkole

tego, jak celową jest jej praca. Stowarzyszenia sportowe i gimnastyczne zajmowały oddzielny pawilon.

Obok wzorowo urządzonych schronisk, sal gimnastycznych i t. p., pokazały one mnóstwo prześlicznych fotografii i liczne specjalne wydawnictwa.

Grupa XII—Życie i praca kobiety szwajcarskiej dawniej—to szereg obrazów z przeszłości, z pracy i życia domowego. Obok dawnych wnętrz pokazano oryginalne stare kostjумы z różnych kantonów, dawną biżuterję i t. p.

Grupa XIII—Prace amatorskie—to po większej części ręczne roboty kobiece, cały pawilon, pełen haftów, serwet, poduszek, makat i t. p. ładnych, nieraz bardzo ładnych, i przeciętnych, i zupełnie brzydkich — zresztą wszystkie wystawione imiennie przez osoby prywatne. Bardzo ciekawe było zgrupowanie



1.

2.

3.

Afisz Stow. Kobiet, walczących o równouprawnienie

Pod afiszem umieszczono podpisy:

1. Kobieta pod względem praw politycznych stoi na równi z mężczyzną: od roku 1907 w Finlandji; od r. 1914 w Islandji; od r. 1915 w Norwegji i w Donji; od r. 1917 w Rosji; od r. 1918 w Anglii, w Austrii, w Czechosłowacji, w Islandji w Estonji, na Litwie, na Łotwie, w Niemczech, w Polsce, w Szwajcarii, na Węgrzech; od r. 1919 w Holandji i w Luxemburgu.
2. Do pracy w samorządach dopuszczono kobiety od r. 1920 w Belgji, od r. 1923 w Rumunji, od r. 1925 we Włoszech.
3. Kobiety nie mają praw politycznych tylko: w Bułgarii, we Francji, w Jugosławiji w Portugalji, w Szwajcarii i w Turcji

robót, wykonanych przez osoby, które przekroczyły wiek 70 lat, i ze zdziwieniem patrzyło się na misterne koronki i hafty, na pomysłowo wykonane lalki i zabawki z włóczki, które ręce jakiejś babci robiły napewno z myślą o ukochanej wnuczce.

Grupa XIV—Życie i praca kobiety szwajcarskiej zagranicą—pokazała prace szwajcarek, rozrzuconych po całym świecie, a zgrupowanych prawie w każdym kraju w związki i stowarzyszenia. M. P.



POTRAWKA Z KACZKI PO FRANCUSKU (Civet de caneton)

Zarzynając młodą kaczkę, krew zebrać do miseczki, lekko osolić i rozbić mocno widelcem, aby nie zakrzepła. Po oskubaniu, opaleniu i wypaproszeniu kaczki, pokrajać ją na części wraz z podróbkami, które się podają razem. W rondelku roztopić dziesięć deka młodej słoniny, pokrajanej w drobną kostkę. Na tej słoninie zrumienić kawałki kaczki. Dodać dziesięć małych cebulek, dać im dobrze się zrumienić razem z kaczką. Wsypać dobrą łyżkę mąki, zalać butelką czerwonego wina (może być owocowe). Teraz dopiero posolić, wrzucić pieprzu, ziela, listka, tymianku, dwa goździki, trochę utartej gałki muszkatołowej. Odstawić na brzeg blachy i dusić pod pokrywą na najmniejszym ogniu, potrząsając rondlem, aby do dna nie przywarło. Po godzinie mniej więcej mięso powinno być zupełnie miękkie. Wlać wtedy dobrze rozbitą krew i kieliszek konjaku. Zagotować raz tylko. Przełożyć na dobrze ogrzany głęboki półmisek i obłożyć wkoło grzankami z bułki, zrumienionymi na maśle

KUROPATWY NA GRZANKACH.

Trzy młode kuropatwy oczyścić starannie, zawiązać każdą w dwa plasterki słoniny (jeden z każdej strony); słoniny starczy piętnaście deka; smaczniej jest brać słoninę lekko wędzoną, niż surową. Plasterki powinny być przed zawiązaniem osolone wewnątrz i zewnątrz. Zrumienić ze wszystkich stron kuropatwy i dusić wolno, podlewając zrzadka wodą lub rosołem, aż zupełnie zmiękną. Tymczasem przygotować sześć ładnych, owalnych grzanek z pszennego chleba lub bułki, zrumienić je z obu stron na maśle. Kuropatwy wyjąć, rozkładać na połówki, ułożyć na grzankach, każdą połówkę przykryć zrumienioną słoniną i trzy mać w ciepłe. Do sosu, w którym się dusiły kuropatwy, wsypać sporą łyżkę mąki, zagotować, rozprowadzić pół szklanką śmietany i pół szklanką rosołu lub wody, dodać odrobinę pieprzu, zagotować raz tylko. Jeśli sos nie dosyć gładki, przetrzeć go przez sito i polać nim ptaszki, lub też podać oddzielnie w sosierce. Do tak przyrządzonych kuropatw podaje się na jarzynę buraczki, uduszone ze słoniną i śmietaną, lub borówki smażone z jabłkami.

GRUSZKI SUSZONE W MIODZIE

Duże, twarde gruszki obrać i smażyć, jak powyżej, w syropie, składającym się po połowie z cukru i miodu. Nie wysmażać ich jednak tak mocno, jak na konfiturę. Gdy tylko gruszki dobrze się przejmą syropem, wyjmować je na sito i kłaść w syrop świeże gruszki, tak samo w pierw zblanżerowane. Gdyby syropu było za mało, dodawać w miarę potrzeby wody, cukru i miodu. Gdy wszystkie gruszki gotowe, spłaszczyć każdą zlekką drewnianą łyżką, ułożyć na cukierniczą kratkę, lub na lasy do suszenia owoców i wsunąć na noc do letniego pieca. Nazajutrz syrop wygotować do gęstości, wyjęte z pieca gruszki maczać w nim kolejno i znów układać na kratce. Gdy syrop ścieknie, znów wsadzić na noc do pieca. Powtarzać to kilka razy, aż cały syrop wyjdzie, a gruszki dobrze obeschną po wierzchu. Ułożyć je szczelnie w blaszaną puszkę, przykryć pergaminem i przechowywać w suchej szpiżarni.

ŁATWY KREM Z JABŁEK

Dziesięć kwaskowych jabłek upiec, przetrzeć przez sito, skórki i ziarnka odrzucić. Do masy jabłecznej dodać piętnaście deka cukru, trochę wanilii lub cytrynowej skórki i dwa białka. Ucierać drewnianą łyżką w glinianej misce, wciąż kręcąc w jedną stronę, aż masa zbieleje i wdwojnásób jej przybędzie. Ułożyć w ładną piramidkę na półmisku, ubrać konfiturami i podać do tej łatwej i taniej leguminki zimne mleko lub śmietankę.

Pani Elżbieta.

DOBRE RADY

Drzewa owocowe można sadzić w jesieni, po opadnięciu liści, albo wczesną wiosną, zaraz po roztopach i odmarznięciu ziemi. Zbyt głębokie sadzenie jest dla drzew niekorzystne. — W jesieni sadzone drzewa trzeba zabezpieczyć od mrozu, obwiązując szczyty słomą i okrywając ziemię wokoło grubo nawozem. W końcu marca zdejmujemy z drzew słomiane okrycie, a kopce z nawozem rozrzucaamy. — Dołki, przeznaczone do sadzenia drzewek, muszą być zaprawione kompostem, szlamem, przegniłym (byle nie świeżym) nawozem. Korzenie drzew trzeba obsypać ziemią inspektową. Można sadzić drzewa nietylko w ogrodach, ale i na miedzach, wzdłuż dróg polnych i bitych, dobierając odpowiednio do gleby gatunki grusz, jabłoni, czereśni i wiśni.

Na niskich, wilgotnych miejscach najlepiej udają się węgierki, na piaszczystych—wiśnie, na innych—jabłonie, z których najlepsze do obsadzania są: burstówki, cytrynowki, renety złote, szampańskie itd. Sadzić je trzeba co dwa—trzy metry.

ECHA WERSALU

Gdyby zalotna Pompadour
Jedną z warszawskich była cór,
To używałaby dowoli
Kremów i kwiatowych wód MAJOLI.

KORESPONDENCJE

Pani M. Sz. — Rozprz. Radzę Sz. Pani zwrócić się do dr. J. Świtalskiej (ul. Krucza 31, m. 3). Przyjmuje codziennie od 10 do 11-ej rano

Pani M. Szcz. — Mosty Wielki. Niech się Sz. Pani zwróci do Zarządu szkoły, o której mowa (można listownie), z prośbą o przysłanie prospektów i potrzebnych informacji. Adres: Tamka 1, szkoła instruktorów przemysłu ludowego w Warszawie.

Pani A. J. — Puchaczów. O pasy dla osób w poważnym stanie niech się Sz. Pani zwróci do firmy Szober i Szymczyk (Marszałkowska 72). Niech Pani napisze do pani J. Szober, polewając się na naszą Redakcję, a udzieli Sz. Pani potrzebnych informacji. Polecam Sz. Pani książkę dr. med. Fr. Cieszyńskiego „Higiena noworodka i niemowlęcia” (cena z przesyłką pocztową 3 zł.). Po otrzymaniu należności, wyślemy natychmiast.

Pani J. K. — Wawryców. Najpiękniejsze pismo w rodzaju, o którym Pani wspomina, to „Illustration” — adres w Paryżu: rue St. Georges Nr. 13. Można prenumerować również przez księgarnię Gebethnera w Warszawie.

Książka, jakiej Sz. Pani poszukuje, jest do nabycia w naszej Redakcji. Tytuł jej: „Mój system” dr. J. Świtalskiej. Bogato ilustrowana, uwzględniająca masaże specjalny i ogólny, ćwiczenia gimnastyki pokojowej i innej, jest nieoceniona dla osób, pragnących samodzielnie prowadzić jedno i drugie.

Pani W. N. — Miłoszowo. Niech Sz. Pani doda kilka utartych pastylek benzoesowych, które, rozpuściwszy w małej ilości syropu cukrowego, należy wymieszać dokładnie, a z wierzchu nakryć cienkim kawałkiem płótna, zmoczonego w spirytusie salicylowym. Tak benzoes, jak salicyl ustrzegą borówki od pleśnienia i fermentowania. Trzeba tylko, biorąc je, za każdym razem dobrze ugładzić powierzchnię, aby powietrze nie dostało się do wewnątrz, zmoczyć ponownie gałganek w salicylu i dobrze nakryć.

Już teraz należy pomyśleć o tem, aby w każdym domu, a także we wszystkich szkołach, przedszkolach, ochronkach i na wszelkiego rodzaju kursach znalazł się przepiękny album p. t.

Wzory te są ostatnim wyrazem polskiego zdobnictwa zarówno pod względem kolorystyki, jak rysunku. Dokładność opracowania technicznego i cały szereg wskazówek metodycznych sprawiają, że dzieci w wieku przedszkolnym i szkolnym z ła-



twością wykonają wszystkie podane w albumie modele, zużywając najprostsze materiały, jak skorupki od jajek i orzechów, kolorowy papier, jedwab, włóczkę itp.

Cena 7 Zł.

Dla prenumeratorek, które otrzymują tygodnik bezpośrednio w Administracji „BLUSZCZU”, **cena zniżona do 5 złotych.**

Zamawiać można w Towarzystwie Wydawniczym „BLUSZCZ” — Warszawa, Krak. - Przedmieście 99.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocznie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O. — Warszawa 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.
 Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW
 Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40.
 Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymarska 8, tel. 244-18.